

Bezpańskie psy włóczą się nad ranem

Rozdział I - lato 2006, "wszystkiego najlepszego, dużo zdrowia, acodinu"

Tamtego dnia przebywaliśmy na działce. Liczyliśmy sobie... sporo, ale jeśli dobrze pamiętam - pięć osób. Naszym zadaniem było urządzić grill. Musieliśmy, gdyby było inaczej, nie jestem w stanie przewidzieć konsekwencji. Co mogło się stać, jeśli grill nie został zorganizowany? To leży gdzieś na niezbadanych terenach mojej wyobraźni. Plastikowe krzesła podtrzymują nasze dupska, siedzimy przy stole, w tle syczą kielbaski i puszczają soki męczarni wiekuistych przypalania na żywym ogniu. Świnia czy tam krowa, z której są zrobione już nie żyje, ale fakt jest faktem, smażymy i zjadamy jakiegoś zwierza. To, co następuje potem jest dosyć niespodziewane. Ktoś wyrzuca bochenek chleba na działkę obok. Rozkazy są natychmiastowe, czujny dowódca zarządził misję ratunkową. Przecież nie zostawimy sojuszniczego chleba na terenie wroga. Lekko spanikowani biegamy w tę i drugą, w końcu najodważniejszy żołnierz cywilizacji upadku idei przeskakuje ogrodzenie i triumfalnie wznosi bochenek do góry, po czym wraca. Akcja szybka i sprawna nie naraziła nas na straty w ludziach, za to po stronie nieprzyjaciela poległo wiele zielonych pomidorów. Patrzyliśmy jak leżą na ziemi, rozmemłane, wiedząc, że nigdy już nie zaczerwienią się by wydać kolejny żmijowy pomiot. Pomarańczowe kwiatki depcze koleś z krzesłem na głowie, kielbasy upiekły się a staruchy zdechły. Potem ciąg różnych zdarzeń i nagle koniec.

Nie wiedzieć czemu stałem się robotem, przemierzam niezwykle tereny w bliskim sąsiedztwie rzeki i przystani rybackiej. Grunt nie jest pewny, konsystencja gąbki to żaden komfort. Twardy krok staje się krokiem sprężynującym, zdecydowany chód grozi nawet upadkiem. Odbieram lekko falujący obraz, ale możliwe, że w takiej właśnie technologii zostałem stworzony. Widzę pokaz slajdów, co odrobinę denerwuje, a zarazem ma w sobie aurę tajemniczości. Badam otoczenie, chłonę dźwięki psychodelicznej muzyki drum'n'bass. Niczym nimfy latają wokół mnie kolorowe plamy, a barwy ich i kształty niemożliwe do ocenienia, przechodzą wieczne metamorfozy. Czuję strach, lęk, obawy, niepewności, same negatywne emocje a w nie wpleciony gdzieś skrzętnie zachwyt. Przenosimy się, bo nie byłem tam sam. Dość duża kuchnia w domu u kolegi gościnnie zachęca by skorzystać z któregoś siedziska. Na środku stołu pojawia się świeca, lampy zgaszone, zasłony zaciągnięte, jest mrok i tylko owa świeca go rozświetla. Niestety również wykręca na różne sposoby to, co widzę, załamania i spiralność obrazu nie napawają mnie optymizmem. Zamykam oczy, tańczą krasnoludki, potem las i karetą, której koła obracają się, mimo, że ta stoi. Herbata na uspokojenie zostaje podana w nienaturalnie wielkim kubku, albo moje dłonie nienaturalnie zmniejszyły się, nie wiem. W końcu trafiam do swojego łóżka, symuluję zatrucie pokarmowe, otrzymuję herbatę miętową. Noc to pomieszanie różnych stanów, coś blisko snu, halucynacji, a zarazem wcale nie daleko od jawy. Jak więc tu się połapać? Nie sposób. Zasypiam nad ranem, choć i to także ciężko snem zwać. Stan czuwania do momentu, gdy można będzie wstać. Poranek wysoce optymistyczny, przejaskrawione barwy i leciutkie pobudzenie czynią mnie pełnym życia i radosnym. Nie czuję zmęczenia, roztrzęsienia, zero zejścia. Jest cudownie. Zajebiście. Nie, jest wykurwiście jak rzadko kiedy.

Rozdział II - Początek roku 2007. Zima. Apteki szczęścia.

Oto i kolejna doba, jakich ostatnio było wiele. Lecz dziś to nie 150, 300 czy 450 mg DXM-u. Spróbuję

645 i niech bóg ma mnie w opiece przy moim zdrowiu. Leżę w łóżku, mam przygotowane odpowiednie płyty z muzyką, wiele od tej nocy oczekuję. Niewiele jednak dostaję. Widzę szamana nade mną z ręcznikiem zarzuconym na głowę. W ręku trzyma latarkę, macha nią, przez co nie mogę skupić wzroku w jednym punkcie. A może to nie on ma latarkę? Szaman to kuzyn, ale przecież jest tam jeszcze mój brat. Zamroczenie to czy trans? Niemal nie istnieje kontakt z rzeczywistością, płaszczyzna ja-świat ma się bardzo kiepsko. Mocno zniekształcone dźwięki jakby pozbawione sensu i wyrazistości, pojawia się wieża kościelna, po której biegnie mały płomień. Chcę pobiec za nim, sprawdzić gdzie ma kryjówkę, ale szybko znika i więcej nie wraca. Przez resztę godzin jestem pozbawiony świadomości. Dobrze mi w tym stanie, choć w zasadzie nawet nie mam pojęcia jak się czuję, czy się czuję, kim jestem, co robię i dlaczego. Zabawne, ale wogóle mi to nie przeszkadza. Straciłem tożsamość, hierarchię wartości, poczucie sensu, celu i istnienia. Chyba właśnie tego szukałem.

Znajdujemy się stadem u kumpla na seansie filmowym. W kieszeni mam dwa pakiety, pierwszy zawiera 40 tabletek, drugi 14. Taki mam plan na wieczór - 810 mg dekstrometorfanu. Plany się zmieniają o godzinie 21:30. - Kich, oglądasz?

- Nie wiem.

Nic więcej nie pamiętam z tamtego wieczoru, jeśli chodzi o rozmowy. O 22 plany zmieniły się i to bardzo kurewsko, wyłącznie na moją niekorzyść. Później było już tylko gorzej. Jestem w domu, przychodzi lekarz, nie wiem, co się dzieje, czuję zimno na kostkach u nóg. Mówią do mnie, ale nie odpowiadam, a w zasadzie odpowiadam tylko w myślach. Zdaje mi się, że tyle wystarczy, słyszą moje myśli, to niemożliwe, ale jestem przekonany, że właśnie tak jest. W końcu udaje mi się wydukać jedno słowo - czterdzieści. Głos mój brzmi niemal jak głos boga, mam takie wrażenie, ale to mój słuch. Dzisiaj działa raczej średnio. Urywa się film. Wraca, gdy jestem przed blokiem, wciągają mnie do karetki. Urywa się ponownie i mam go znów dopiero na oddziale. Czarna dziura i oto przebrany w piżamę zająłem łóżko na intensywnej. Obok jakiś staruszek odgradzony parawanem, po drugiej stronie sali mającą babcia. Coś mi całą noc bulgota. Rano orientuję się, że to był babciny tlen. Wcześniej każą pić, a ja nie mam ochoty, nie czuję pragnienia. Błogo mi, i tak mogłoby zostać, a oni niech się odpierdolą. Kurwa jak mi dobrze. Nie wiem, co się dzieje ani gdzie jestem, ale jest mi cudownie. Zupełnie nic nie ma znaczenia. Leżę w dziwnym stanie, którym się upajam, tylko to się liczy. Na tę noc świat zniknął. Po prostu go nie ma, w każdym razie ja go nie czuję. Wszystko się pochowało, a może zginęło, ale nie mam pojęcia, co przylazło w zamian. Zresztą... nic nie wiem, nic mnie nie interesuje, istnieje tylko połowicznie i niczego poza mną nie ma. Mam w dupie jak jest naprawdę. Tylko kurwa budzę się rano i dowiaduję tego. W sumie nie mogłem się obudzić, nie spałem. Uznajmy więc, że wyrwałem z marazmu zabawiania śmiercią. Byłem niej blisko, a żyję. Gdzie się ona do chuja podziała? Zabrać miała przecież. Mógłbym tak umrzeć. Na totalnym haju, nie mając pojęcia, że zdycham.

14 luty 2007, środa - dzień, w którym psychicznie umarłem. Odrodziłem się zupełnie pusty wewnątrz na jutro, piętnastego w czwartek. Odtąd nic już nie było proste.

Rozdział III - 2009. Sweetf.

Przenikliwy mrok w czterech ścianach zamknięty. Noc. Obłąd ma swoje miejsce między dwoma światami, na rogach podświadomości. Tańczę na skraju dachu wielkiego budynku, pieści mnie wiatr. To namiastka raj. Tuż przy granicy mózgowej zapaści. Rozpływam się, unoszę i znowu kocham. Biała

królowa, słodka ma dziewczyna. Sufit obłany ciemnością, ściany zroszone mrokiem, dusza zawinięta w czerń. Łuna telewizora z drugiego pokoju i ja. Napawam się niewidzialnością, samotnością. Kolejna znieczulona noc, pod której kocem tak chętnie się chowam. Chwytam lekkie skojarzenia, strzępki zdań, szepty, wewnętrzne monologi. Kończyła się era działkowego szaleństwa, zaczynała się inna. Podnieść z kolan za cenę potępienia, obarczyć winą za piękno, potęgować gniew i nienawiść, zniszczyć ciało by utrzymać duszę. U kumpli, cioci, babci, nad rzeką. Na jakiejś klatce schodowej, w pracy. Zniknął strach, skrępowanie, teraz wszędzie można nabrać oddechu świeżości zwiniętym banknotem.

Chemiczny Ali wkracza już do sali. Zostajemy z jinxem sami, nadchodzą dla nas lepsze czasy. Snujemy ambitne plany, że chyba można żyć bez skazy. Rozumiemy czar goryczy, on trzyma nas na smyczy. Trudno to zwać uzależnieniem. Może słuszniej pragnieniem szczęścia? Tak czy siak drzwi zamykają się, zamek obraca w lewo. Nikt już nie wejdzie. Jesteśmy sami w pokoju. W nim, poza wszelkimi domysłami umieramy pięknie. Rozgościmy się między fekaliami szarej egzystencji, oddajmy rytuałowi defekacji zbędnych trosk. Na szafce czeka już rozsypany na książkę śnieg piekieł. W nim będziemy się zatracać, później czuć do siebie nienawiść, potępiać własne czyny. Zeżre nas poczucie winy i wewnętrzny ból, który trzeba przyklepać dobrą miną i samotnymi medytacjami w towarzystwie białego proszku. Mimo wszystko oszukamy samych siebie, bo kto robi to lepiej? Powiemy, że owszem, pragniemy zmian i próbujemy. Będziemy odpowiednio często powtarzać sobie, że życie jest piękne, z każdej sytuacji jest wyjście, a wszystkie minusy mają jakieś plusy. Potem uwierzymy w te bzdury. Wypisać receptę na szczęście jest prosto. Wiara w mit o możliwości harmonijnego, doskonałego, idealnego, szczęśliwego życia w społeczeństwie na podstawie przyjętych założeń o zdolności człowieka do altruizmu, współpracy i tworzenia. Wizja emocjonalnego oparcia w przyjaźni. Zaufanie, szczerość, poczucie bezpieczeństwa, zgodności poglądów, wzajemna troska, równość. Gówniany koktajl kłamstw, im większa kurwa tym lepiej ma, wiemy to, ale trzeba fakt ów teraz odsunąć. Naprawdę tylko mamy nadzieję, że coś, kiedyś będzie inaczej, ale nie wiemy, kiedy ani jak, a już tym bardziej nie robimy nic w tym kierunku. Wyciągamy wnioski i na tym koniec. Jednak wnioski to za mało, to jeszcze nie nauka. Bo widzisz, źle się życie zaczęło, a ja równie kiepsko nim pokierowałem. Dzieciństwo słabe, w samotności, za jakiś czas przyszła depresja. Ostatnie cztery lata spędzone z narkotykami, przećpane jakieś pięć, sześć, może siedem tysięcy złotych, bo łatwiej było dowodem formować kreski niż konsekwentnie odkładać na przyszłe, dorosłe życie. Łatwiej było zamieść pod tapczan niż wyrzucić. Pomijając już fakt, że wydawałem pieniądze, których nie miałem. No, ale nic się nie stało, tak? Jak to mówią - żyje się dalej, a jak to ja powiadam - trudno się mówi, umiera się szybciej. Mogę tak żyć cały czas, czyścić znaki nieprzejezdnych tras, stawiać barykady dla ludzkich spraw. Szukać rozwiązania dylematów, bo tak trzeba, mimo iż wiem, nie znajdę. Zadaję pytania bez odpowiedzi, spalam się własną desperacją, hoduję urojone twory. Pielęgnuję czule demony skrzydlate, bo choć ich nienawidzę, mam tylko je. Czasem, kiedy wychodziłem wcześniej rano, widziałem na ulicach bezpańskie psy, zawsze je poznaję. Tylko o brzasku słońca jest ich tak dużo. Nie wiem czemu, tak po prostu jest.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.